Łęczna w blasku szabasowych świec

Maria Kieres-Kramek

ŁĘCZYŃSKIE WSPOMNIENIA

Łęczna w blasku szabasowych świec

Maria Kieres-Kramek

ŁĘCZYŃSKIE WSPÓŁNIENIA

Łęczyńskie wspomnienia, tom I
Łęczna w blasku szabasowych świec
wydrukowano na zlecenie
Łęczyńskiego Stowarzyszenia Twórców Kultury i Sztuki PLAMA
ul. Górnicza 12, 21-010 Łęczna
www.plama.org.pl

Autor
Maria Kieres-Kramek

Współpraca
Mariusz Bartniczuk, Paweł Brodzisz, Joanna Kadłubowska-Wącior

Projekt okładki i logo serii „Łęczyńskie wspomnienia"
Paweł Brodzisz

Opracowanie graficzne i skład komputerowy
Mariusz Bartniczuk

Publikacje wydano w ramach realizacji zadania „Łęczyńskie wspomnienia" – Rozwijanie wiedzy o wielokulturowym dziedzictwie Łęcznej w powiązaniu z historią mieszkańców gminy Łęczna współfinansowanego ze środków Gminy Łęczna

Partnerzy
Centrum Kultury w Łęcznej – www.ck.leczna.pl
Fundacja Ochrony Dziedzictwa Żydowskiego – www.fodz.pl

Publikacja powstała dzięki współpracy z Fundacją Ochrony Dziedzictwa Żydowskiego prowadzonej w ramach projektu „*Badanie postaw wobec Żydów i stosunku do ich dziedzictwa, współpraca z lokalnymi partnerami w wybranych 15 miejscowościach, edukacja dla tolerancji*", wspieranego przez Fundację im. Stefana Batorego

Dziękujemy Muzeum Lubelskiemu w Lublinie za pomoc w przygotowaniu publikacji i umożliwienie wykonania fotografii w Muzeum Regionalnym w Łęcznej

© Copyright Łęczyńskie Stowarzyszenie Twórców Kultury i Sztuki PLAMA Łęczna 2008

ISBN 978-83-928158-4-6

Wydanie I
Nakład 500 egz.

Druk
Centrum Poligraficzno Handlowe M-M
ul. Kruczkowskiego 22, 20-468 Lublin

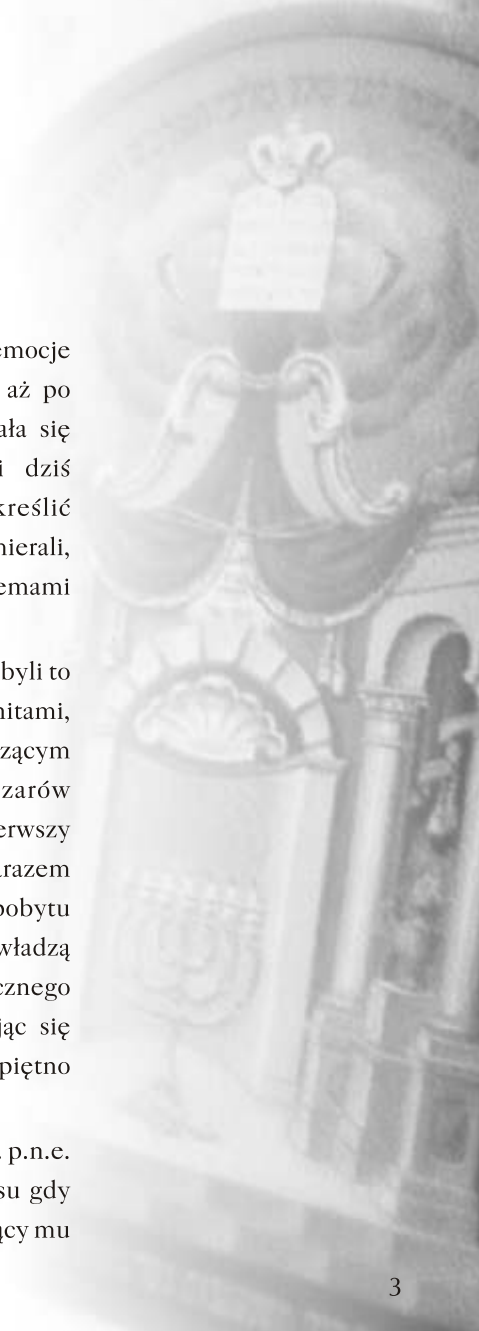

Od wieków naród żydowski budzi różnorodne, często skrajne emocje – od ciekawości, poprzez życzliwą bądź obojętną akceptację – aż po zajadłą nienawiść. Dramatyczna historia Narodu Wybranego stała się udziałem nas wszystkich a liczne stereotypy nierzadko i dziś determinujące wzajemne relacje, nie są w stanie przekreślić ośmiowiekowej obecności tych, którzy obok nas żyli, rodzili się i umierali, radowali i smucili, borykając się z zupełnie zwyczajnymi problemami codzienności.

Na terenach ziem polskich Żydzi pojawili się już w IX wieku, a byli to kupcy – od rzeki Rodan we frankońskiej Prowansji – zwani rodanitami, przemieszczający się ważnym szlakiem handlowym, prowadzącym z zachodniej Europy do nadwołżańskiego państwa Chazarów i pozostałych krajów Środkowego i Dalekiego Wschodu. Gdy pierwszy znany z imienia Żyd – Ibrahim ibn Jakub – także kupiec a zarazem hiszpański dyplomata i poseł kalifa do Niemiec i Czech – podczas pobytu w Pradze odnotował istnienie państwa Polan pozostającego pod władzą Mieszka, nikt nie przypuszczał, że współbratymcy tego egzotycznego gościa wkrótce na wiele wieków osiądą na tych ziemiach, stając się integralną częścią kultury ich mieszkańców i odciskając na niej piętno swej inności.

Zróżnicowane etnicznie półkoczownicze plemiona już ok XX w. p.n.e. przemierzały obszary od Egiptu po Mezopotamię, jednak od czasu gdy biblijny Abraham w syryjskim Charanie usłyszał głos Boga nakazujący mu

„Wyjdź z twojej ziemi rodzinnej i z domu twego ojca do kraju, który ci ukażę, uczynię bowiem z ciebie wieki naród, będę cię błogosławił i twoje imię rozsławię: staniesz się błogosławieństwem" (Rodz.12.1-3) – naród żydowski od trzech tysięcy lat kroczy w nieustającej wędrówce.

Choć u celu bożego wezwania leżała ziemia Kanaan – nie od razu stała się ona ziemią obiecaną, ostatnim przystankiem w podróży. Osiedlając się na południowych stepach Negebu Abraham uzyskał od Boga zapewnienie licznego potomstwa, któremu dane będą obszary od Nilu aż do Eufratu (dziś są to tereny Izraela, Libanu oraz części Syrii) – przyszła Ziemia Obiecana, na którą kolejnym pokoleniom przyjdzie czekać jeszcze 400 lat. Spowodowane klęską głodu wyjście potomków Jakuba z Kanaan, osiedlenie się w Egipcie, niewola i ucieczka z państwa faraona, czterdziestoletnia tułaczka po pustyni pod przewodnictwem Mojżesza, ukoronowane zostały dotarciem do przyobiecanej krainy mlekiem i miodem płynącej. Jednak strategiczne położenie Kanaanu sprawiło, iż ten łakomy kąsek był terenem nieustających zakusów a więc i walk o tak atrakcyjne terytorium. Dopiero pod wodzą Jozuego Izraelici podbili kanaeńskie miasta i utworzyli nowe państwo. Począwszy od pierwszego króla – Saula, kolejni władcy budowali jego potęgę, by za króla Dawida ok. 1000 r. p.n.e. osiągnąć granice określone przez Boga jako Ziemia Obiecana, a za króla Salomona – największą świetność. Jednak spokój nie był dany ludowi wybranemu. Najazd babilończyków, niewola, przesiedlenie do Mezopotamii i powrót, – to tylko niektóre fakty z wielce burzliwych dziejów Izraelitów. Ostatecznie podbój Palestyny przez Rzymian w I w p.n.e., zdławienie dążeń niepodległościowych a przy tej okazji ostatecznie oblężenie i zburzenie przez cesarza Tytusa Drugiej Świątyni w roku 70 n.e. zapoczątkowały wielowiekową tułaczkę i rozproszenie narodu wybranego. W ciągu I tysiąclecia wygnańcy zasiedlili tereny w Azji Mniejszej i Afryce Północnej, a następnie w Europie.

Na przełomie XII i XIII wieku niewielkie jeszcze grupy Żydów z terenów Czech zamieszkały na Śląsku i stopniowo – w innych znaczących ośrodkach dzielnicowych. W II połowie wieku XIII napływ żydowskich osadników zyskał na intensywności aby w wieku XIV zamienić się w prawdziwą gorączkę osadniczą. Sprzyjające warunki – życzliwość władców przejawiająca się w licznych przywilejach (Statut Kaliski księcia Bolesława Pobożnego z 1264 r. rozszerzony w 1334 r. przez Kazimierza Wielkiego na całą Polskę) sprawiły, że dla Żydów udręczonych rosnącymi ograniczeniami na terenach Czech i Niemiec oraz antyżydowskimi zamieszkami – tereny Polski stały się azylem, miejscem w którym mogli spokojnie żyć i pracować. Nieprzypadkowo hebrajska nazwa Polski – Polin oznacza: tu odpoczniesz. Od końca wieku XV dla polskich Żydów nastała epoka złotego wieku, trwająca aż do XVII-wiecznych pogromów kozackich podczas powstania Bohdana Chmielnickiego i potopu szwedzkiego. Nawet napięcia i konflikty skutkujące narastającymi od wieku XVI procesami izolacyjnymi nie zmniejszyły atrakcyjności Polski dla imigrantów z państw niemieckich, tak, że pod koniec XVIII wieku Żydzi stanowili 10 procent ogółu ludności. Pod koniec XIX wieku miała miejsce fala masowej emigracji do Stanów Zjednoczonych oraz Palestyny. U jej przyczyn leżały zarówno narastający antysemityzm (szczególnie w zaborze rosyjskim) jak i dotkliwe zubożenie (w zaborze austriackim).

Żydzi osiedlili się w Łęcznej wkrótce po lokacji miasta, czyli prawdopodobnie w IV ćw. XV w. Pochodzące z 1 poł. XVI w. wzmianki w lubelskich księgach miejskich i grodzkich dowodzą licznych transakcji handlowych przeprowadzanych przez łęczyńskich Żydów, świadcząc o dużej ich aktywności. W zachowanych dokumentach nie pojawia się dokładna data powstania samodzielnej gminy żydowskiej w Łęcznej, można jednak przypuszczać, że miało to miejsce w 3 ćwierci wieku XVI. Do tego czasu społeczność łęczyńska mogła podlegać gminie

w niedalekim Lublinie i choć nie zachował się żaden dokument regulujący prawa i obowiązki członków gminy wobec miasta i jego właścicieli, prawdopodobnie za wzór przyjęto istniejące już zasady wzorowane na ogólnych przywilejach królewskich i doświadczeniach innych miast.

Intensywny rozwój miasta nie pozostawał bez wpływu na kondycję miejscowej gminy żydowskiej, do czego niewątpliwie przyczyniła się też rozumna polityka właścicieli ośrodka, zapewniających mieszkańcom pozyskiwanie dochodów poprzez dopuszczenie wolnego wykonywania zawodów, uprawiania handlu i obrotu nieruchomościami. W tym czasie łęczyńska gmina żydowska zyskała status drugiej po Lublinie pod względem liczebności gminy w regionie. Uzyskanie w 1648 r. zezwolenia na wzniesienie murowanej synagogi jest dowodem pozycji wspólnoty, podobnie jak kilkakrotne w latach 1668-1685 obrady w Łęcznej delegatów Sejmu Żydów Korony.

Wiek XVIII zaznaczył się spowolnieniem tempa rozwoju miasta, co znalazło wyraz również w kondycji gminy żydowskiej, która – pomimo, że pod względem liczebności wyprzedziły ją inne – pozostała jedną z najznaczniejszych gmin województwa.

Od I połowy wieku XIX Łęczna stała się ważnym ośrodkiem chasydyzmu, będąc siedzibą dworu cadyka Szlomo Jehudy Lejba Łęcznera, ucznia Jakuba Icchaka Horowitza z Lublina i Jakuba Izaaka z Przysuchy. Obecność tak znakomitego autorytetu mającego swoich zwolenników nie tylko w Łęcznej ale i na całej Lubelszczyźnie a nawet w Królestwie Polskim przyciągała do miasteczka wielkie rzesze pielgrzymujących. W tym czasie łęczyńscy Żydzi stanowili 64,3 % ogółu ludności miasteczka, a murowana synagoga, dwa domy modlitwy (murowany i drewniany) oraz rytualna łaźnia i cmentarz stanowiły własność gminy żydowskiej, w skład której oprócz Łęcznej wchodziły wspólnoty w Puchaczowie i Cycowie. Pomimo tak prężnego życia

religijnego i gospodarczego powolna recesja wpłynęła również na ogólną kondycję materialną społeczności żydowskiej, której głównym źródłem dochodów, obok rzemiosła, był handel. Dowodem na marną kondycję finansową gminy, w której grupę lepiej sytuowaną stanowili nieliczni, są zachowane testamenty i intercyzy przedślubne z lat 60-tych XIX w., świadcząc o tym, że grupę lepiej sytuowaną stanowili nieliczni. Także kolejne pożary miasta nie poprawiały istniejącego stanu rzeczy, zmuszając do angażowania środków w odbudowę wspólnotowej infrastruktury, co nie zawsze zresztą się udawało.

Między wojnami Żydzi w Łęcznej nadal prowadzili działalność handlową, rzemieślniczą oraz usługową i pomimo faktu, że byli wśród nich zarówno lekarze, dentyści, właściciele księgarni, kinematografu, jak i herbaciarni czy restauracji – to generalnie w przededniu wybuchu wojny stanowili grupę społeczną odrębną i niezasymilowaną. Czas okupacji niemieckiej to czas zagłady, który nie ominął też łęczyńskiej społeczności żydowskiej. Restrykcje i terror przejawiające się w licznych aktach przemocy osiągnęły apogeum w latach 1942-43, gdy zbiorowe egzekucje i wysyłki Żydów z łęczyńskiego getta do obozów zagłady w Sobiborze, Bełżcu i in. zakończyły kilkusetletnią obecność wspólnoty żydowskiej w mieście. Zniszczona synagoga pozostała niemym świadkiem wojennej tragedii a nieliczni, którym udało się przetrwać, po wojnie zamieszkali w Lublinie, na zachodnich ziemiach Polski, wyemigrowali do Palestyny i USA. Mury synagogi, zaznaczone bliznami licznych kataklizmów trawiących je na przestrzeni wieków, mogłyby opowiedzieć niejedną historię. Milczą jednak a nam pozostaje zdać się na relacje tych, ktorzy żyją i pamiętają. Przedstawione historie wydarzyły się lub mogły się wydarzyć. Pomimo tak już dziś nielicznych zachowanych śladów wielowiekowej obecności, łęczyńscy Żydzi na zawsze stali się częścią historii miasta. Dzięki wspomnieniom i zapisanym relacjom opustoszałe uliczki starej Łęcznej na powrót zaludnią się postaciami Żydów

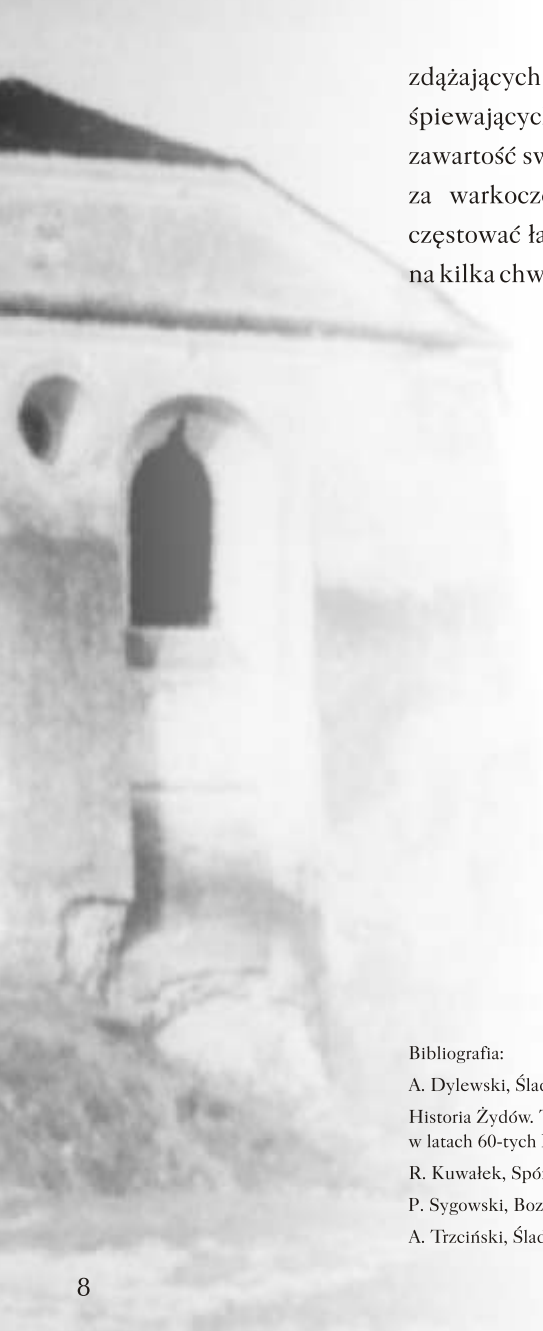

zdążających na modlitwę do synagogi, udających się do rytualnej łaźni, śpiewających i tańczących wraz ze swoim cadykiem, zachwalających zawartość swoich kramików. Jak dawniej żydowscy chłopcy będą ciągnąć za warkocze chrześcijańskich koleżanek, a żydowskie dziewczynki częstować łakociami niesfornych towarzyszy zabaw. Niech przynajmniej na kilka chwil powróci świat na zawsze utracony – lecz niezapomniany.

Joanna Kadłubowska-Wącior

Bibliografia:

A. Dylewski, Śladami Żydów polskich, Pascal 2002

Historia Żydów. Trzy tysiące lat samotności. Polityka, wyd.spec. 1/2008 R. Kuwałek, Żydzi łęczyńscy w latach 60-tych XIX w. w świetle akt notarialnych, w: Merkuriusz Łęczyński 1995

R. Kuwałek, Spór o łęczyńskiego rabina, w: Merkuriusz Łęczyński 1994

P. Sygowski, Boznica w Łęcznej. Dokumentacja naukowo – historyczna. PKZ, Lublin 1990

A. Trzciński, Śladami zabytków kultury żydowskiej na Lubelszczyźnie, Lublin b.r.w.

Chaimowe „handele”

Kiedy w 1928 r. zaczęto brukować łęczyńskie ulice, Chaim – czapkarz cieszył się z tego powodu jak dziecko. Był dumny ze swojego miasta – z historii i teraźniejszości. Pragnął jego rozkwitu, doskonałości, chwały. Uważał i wierzył, że Łęczna to najpiękniejsze miejsce na ziemi.

Najważniejszy w życiu Chaima był handel. Zawód – bo z handlu czerpał pieniądze. Pasja – ponieważ myślał głównie o tym, gdzie taniej kupić i drożej sprzedać. I miłość – wszak handlowanie wyzwalało w nim olbrzymie emocje i dawało szczęście.

Chaim urodził się tuż po zakończeniu I wojny światowej, jako kolejne dziecko mizernego kupca, obarczonego liczną rodziną.

Od maleńkości uwielbiał jarmarki, z których przecież Łęczna słynęła. Atmosfera przygotowań, przyjazd do miasteczka kupców i drobnych sprzedawców, była jego żywiołem. Znikał z domu na całe dnie, godzinami przyglądał się transakcjom, chłonął specyficzny klimat – gwar, ruch, pobrzękiwanie pieniędzy.

Marzył, że znów – jak przed wiekami – Łęczna stanie się sercem handlowym kraju, że będą tu przyjeżdżać z zagranicy i najodleglejszych stron Polski. Ale i tak nie mógł narzekać – podczas jarmarków handlujący władali miasteczkiem niepodzielnie… Trudno było sobie wyobrazić, że dawniej te jarmarki bywały jeszcze okazalsze. Ojciec często opowiadał mu ich historię. Ciekawe informacje czerpał również ze szkoły. Od początku istnienia miasta organizowano jarmarki. Korzystne położenie sprzyjało szybkiemu rozwojowi handlu, którego głównym ośrodkiem w kraju stała się właśnie Łęczna. W okresie Bożego Ciała organizowano jarmark 8-dniowy. Na św. Marii Magdaleny (29.05), Św. Zygmunta (2.05) i na Św. Marcina (12.11) – kolejne wielkie targowania.

W XVIIIw., za panowania króla Stanisława Augusta, miasto otrzymało

następny, największy jarmark – trwający dwa tygodnie, a zaczynający się na Św. Idziego (1.09).

Epidemie, liczne pożary, wojny – częste kataklizmy rzucały cień na rozwój miasta, niweczyły dokonania, wstrzymywały rozkwit. Ale tak się układało, że Łęczna „podnosiła się" po klęskach i od nowa zaczynało się budowanie i tworzenie. Takie to było silne miasto – stworzone do życia, nie poddające się historycznym zawieruchom i przeciwieństwom losu. A jarmarki i jarmarczki były sercem napędzającym łęczyńską rzeczywistość. Chaim często wyobrażał sobie Łęczną sprzed wieków. Te jeszcze okazalsze, tłumniejsze jarmarki – więcej ludzi, towarów, pieniędzy…

A przecież i te znane mu, widziane własnymi oczami targowiska, stanowiły niezwykłe wydarzenia. Wydawało mu się, że miasteczko, zapełnione ponad miarę, nie będzie w stanie zmieścić ani jednego człowieka więcej. Zachwycał go ten tłok. Gwar, porykiwanie bydła, rżenie koni. Wonie, słowa, odgłosy. Wszystkiego tak dużo – każdy krok w tym kłębiącym się, barwnym tłumie, to nowe odkrycie – niepowtarzalny widok, zaskakująca niespodzianka. Jarmark był żywą, mądrą lekcją – przybliżał świat, pozwalał poznać nieznane – zobaczyć, usłyszeć, odczuć.

Chaim, zafascynowany i zauroczony, nie zwracał uwagi na niedogodności, jakie w czasie trwania jarmarków dotykały jego rodzinę. Wszyscy jej członkowie przenosili się do najmniejszego pomieszczenia w domu i „gnieździli" się w nim przez kilka lub kilkanaście nocy. Resztę pokoi ojciec wynajmował przyjezdnym, którzy płacili brzęczącą monetą, pozwalającą potem przeżyć spokojnie jakiś czas.

Chaim bardzo szybko zaczął się usamodzielniać. Śpieszyło mu się do własnego życia, do własnego handlowania. Uważał się za wielkiego kupca – nawet, kiedy jeszcze niczego nie miał, nie rozpoczął. Po prostu – handlowanie miał we krwi.

Na początek był niewielki stragan. Ustawiał go na każdym jarmarku,

wraz z niedużą ilością towaru. Najważniejsze, że kochał swoje zajęcie – wkładał w nie serce i duszę. Wierzył w bogate jutro i uparcie do niego dążył. Marzył o sklepie w rynku, a najlepiej – o sieci sklepów. Oszczędzał pieniądze, ale jego majątek powiększał się niemrawo, jakby z ociąganiem. Niezrażony powtarzał, że na wszystko potrzeba czasu i cierpliwości.

Chaim sprzedawał nakrycia głowy. Niestety – nie były to lisie ani sobolowe czapy. Żadne też jarmułki wyszywane złotem czy choćby srebrem – w sam raz dla bogacza. Handlował zwykłymi, materiałowymi czapkami, w które najczęściej zaopatrywali się okoliczni chłopi, mieszkańcy podłęczyńskich wsi. Bardziej luksusowe były chusty – zdarzały się nawet jedwabne.

Sprzedawać za to Chaim potrafił, jak nikt. Umiał pięknie mówić, przekonywać, zachęcać do kupna. Tryskał humorem, a dowcipne teksty zjednywały mu klientów. Komiczne sytuacje, jakie wywoływał, na zawsze wpisały się w łęczyńskie klimaty – ludzie wspominają je do dziś. Zdarzało się, że podchodził do straganu chłop i zaczynał oglądać towar. Żyd natychmiast wyszukiwał coś najodpowiedniejszego – kolorem, fasonem, rozmiarem. Kupujący jeszcze nie zdążył otworzyć ust, a on już podawał najwłaściwsze nakrycie. Chłop obracał czapkę w dłoniach, badał podszewkę i tkaninę. W końcu – wkładał na głowę. I wtedy zaczynał się spektakl.

– Aj, gdzie podział się ten chłop?! – krzyczał Chaim przeraźliwie, a przechodnie zatrzymywali się natychmiast przy jego straganie.

– Ludzie, ludzie! Chłop mi czapkę ukradł! Oglądał, oglądał i uciekł! Ludzie! Gońcie go! Aj, aj, ja biedny! Taka strata! Taka piękna czapka! Królewska! Aj, aj!

Na ten wrzask mierzący stał spłoszony i aż usta rozdziawiał ze zdziwienia. – Co się, Żydzie, wygłupiasz? – mówił w końcu. – Przecież tu stoję, nigdzie nie odchodzę! Mierzę tę czapkę!

Wtedy Chaim przecierał „zdumione" oczy. – To pan, panie? – udawał niewiarę. – Nie może być… Taka zmiana!.. Jedna czapka – i z chłopa – pan najprawdziwszy – z krwi i kości. Aj, waj – cuda, cuda! Nie wiedziałem, że sprzedaję takie czarodziejskie kapelusze. Myślałem, że zwyczajny towar… Aj, aj!

No i wobec takich słów chłop kupował czapkę. Bez ociągania, nie targując się płacił za „cud", w którym tak mu było do twarzy…

A przy okazji i inni interesowali się „czarodziejskim" straganem – oferującym „cudowne" nakrycia głowy.

Innym razem podchodziła kobieta. Chciała kupić chustę do pracy w polu. A Żyd natychmiast rozkładał przed nią delikatne jedwabie i zachęcał: – Pole potem, ale na niedzielę do kościoła też potrzeba! To jedyna taka okazja, pani gospodyni! Parę mi tylko chust tak pięknych zostało! Żona prezydenta u mnie taką nabyła! I generałowa! O, ta z niebieskim – jak w sam raz! Ten sam kolor w oczach nosicie, pani gospodyni! No, no! Wielka pani, wielka pani! A tę do pola za grosze oddam, niech stracę! Ale czegóż się nie robi dla takiej klientki, takiej wielkiej damy! No, szczęście u ludzi macie zapewnione! Nikt nie przejdzie obok, nie zauważywszy!

No i kobieta odchodziła – pewnym krokiem, z uśmiechem na ustach, wyprostowana. Odmieniona, rozświetlona poczuciem własnej wartości i urody – niosła zawiniątko z dwiema chustkami – tą jedwabną – najcenniejszą, i tą „od pola". A niestrudzony Chaim zaczepiał przechodzącą właśnie matkę:

– A dlaczego to taka piękna córeczka z gołą główką wędruje? Słoneczko spali, włoski wypłowieją. Będzie dziewuszka mieć żal do rodzicielki, że jej nie chroniła! Albo:

– Taka śliczna panieneczka, jak z obrazka! Do mamusi podobna, na piękną panią wyrośnie. Ale kapelusik taki nosi nietwarzowy. Mam tu coś

w sam raz dla takiej ślicznotki, za pół ceny sprzedam, prawie darmo oddam! Tylko dziś!

Na każdym jarmarku pełno było chaimowego „handele" – jego propozycji, zachwalań, zachwytów.

Powoli, bo powoli, ale – grosz do grosza – zebrał w końcu sumkę do otwarcia własnego sklepu niezbędną. I stał się kupcem prawdziwym, bo po pierwszym punkcie w Łęcznej, drugi, w Lublinie, otworzył. A nad sklepami zawsze szyld przyciągający klientów wisiał: „Prosto z Paryża", albo „fasony najmodniejsze w świecie".

I nawet rabin zaśmiewał się z pomysłowości Chaima, kiedy sprytny kupiec namówił go do zakupu drogiej, sobolowej czapy, żonglując słowami:

– Ajaj, taka mądra głowa, a takim nędznym kapeluszem okryta. Tyle cennych myśli, a taką lichotą odziane! No, wybiorę dla waszej głowy coś najpiękniejszego, Rabbi. Tak, żeby prześwietny rozum nie zmarzł i w odpowiedniej oprawie rozkwitał. Żebyście przez sto lat mądrością swoją się z nami dzielili!

Opowiadanie o chlebie powszednim, który nie był macą

Głównym miejscem ceremonii wiosennego Święta Pesach był stół. Nakryty bielutkim obrusem, pięknie przystrojony – pełnił funkcję ołtarza, przy którym modliły się żydowskie rodziny. Wspominano podczas tego święta dzieje wybawienia Żydów z niewoli – kiedy Mojżesz przed tysiącleciami wyprowadził swoich braci z Egiptu i powiódł przez pustynię.

Żydzi szykowali się do Święta Pesach długo i dokładnie. Podstawę przygotowań stanowiły wielkie porządki. W domu nie mógł pozostać nawet ślad chleba pieczonego na zakwasie – wszelkie jego najmniejsze okruchy usuwano starannie, najczęściej – spalając. Naczynia i sprzęty kuchenne musiały być rytualnie oczyszczone, by stały się koszerne. W tym celu zanurzano je we wrzącej wodzie, a nawet – gotowano. Macę, spożywaną w Pesach, zwano „obowiązkową macą", a jej pieczenie różniło się od wypieku zwykłej macy. Zboże wybierano już przed żniwami – najlepiej najwyższej jakości pszenicę. Chroniono ją przed kontaktem z wilgocią i starannie przechowywano. Czas przygotowania takiej macy wynosił najwyżej 18 minut. Według tradycji – było to zajęcie dla mężczyzn. Jeden zagniatał ciasto, drugi je wałkował, a trzeci – wkładał do pieca, pilnując, by się nie przypaliło.

Chleb kwaszony, jego najmniejsza nawet drobinka, czy choćby zanieczyszczone miejsce, w którym leżał – uznawano za symbol nieszczęścia, niepowodzenia i nieurodzaju.

W łęczyńskim II Rynku mieszkali przede wszystkim Żydzi. Tylko kilka domów zajmowały polskie rodziny. Żyli w zgodzie i przyjaźni. Dzieci bawiły się wspólnie, odwiedzały, a w szkołach często siedziały w jednej ławce. Chłopcy śmiało pukali do żydowskich drzwi, prosząc o macę. Stanowiła dla nich oryginalny smakołyk, nieobecny w polskich kuchniach. Żydzi chętnie częstowali malców, rozdawali szczodrze duże, twarde placki, wielkością zbliżone do naleśników. Pewnego wiosennego, słonecznego ranka, pięcioletnia wówczas Adela dostrzegła, że

w sąsiednim domu panuje niezwykła krzątanina. Już kilka tygodni przedtem żydowska sąsiadka i jej córki czyściły, szorowały, zamiatały. Adelka przyglądała się zaciekawiona, jak po raz kolejny zmywały czyściutką podłogę i zastanawiała się nad sensem takich porządków. Tego dnia było inaczej. W lśniącym, wypolerowanym salonie ustawiono wielki stół. Przykryto go obrusem bielszym, niż najbielszy śnieg. Dziewczynka obserwowała, jak pani domu ustawia na tym przepięknym stole okazałe półmiski, misy, patery. Od mnogości potraw – znanych i nieznanych – Adelce aż zakręciło się w głowie. W polskich domach zazwyczaj się w tamtych czasach nie przelewało. Żyło się raczej ubogo. Maluchy często przełykały ślinkę na widok apetycznych kajzerek, przynoszonych do szkoły na drugie śniadanie przez żydowskich kolegów. Zresztą – wszystkie dzieci świata mają takie skłonności, że najbardziej smakuje im jedzenie poza domem, u kogoś. Trzeba dorosnąć, by stwierdzić, że najlepsze przysmaki przygotowuje własna mama – te pachnące dzieciństwem i rodzinną tradycją…

Ale Adela była malutką dziewczynką i kiedy pośród bogactwa dań dostrzegła swoje ulubione ryby – postanowiła natychmiast zaspokoić apetyt. Wszak nieraz bywała u gościnnych sąsiadów, a i oni składali rewizyty…

Chwyciła z kredensu olbrzymią kromkę chleba – ustawiona na żydowskim stole maca nijak nie komponowała jej się z rybką. Do rybki pasowało tylko zwykłe, codzienne pieczywo.

Dziewczynka śmiało powędrowała do domu sąsiadów i zasiadła w pustej jadalni. Domownicy przebywali w innych pomieszczeniach.

Chapsnęła z półmiska kawałek ryby i – zagryzając własnym chlebkiem – spałaszowała ze smakiem. Kiedy zadowolona kończyła ucztowanie, do pokoju weszła gospodyni. Na widok Adelki, siedzącej pośród okruchów, ze skórką razowego chleba w rączce, zaczęła głośno lamentować. Załamywała ręce, zawodziła, prawie rwała włosy z głowy. Dziewczynkę

przeraziło niecodzienne zachowanie tej zwykle przyjaznej i gościnnej Żydówki. Nie wiedziała, co począć. Bała się poruszyć. Na szczęście, na pomoc przybiegła mama, która usłyszała wrzaski za ścianą i dostrzegła brak swojej małej córeczki. Mama chciała posprzątać, ale zrozpaczona sąsiadka nie przyjęła żadnej pomocy. Adela obserwowała ze zdumieniem, jak znów rozpoczęto wielkie porządkowanie. Żydówka i jej córki pośpiesznie myły, szorowały, polerowały i prasowały. Gładziły, przestawiały, czyściły. Nie mieściło się w główce małej łakomczuszki, że to wszystko z powodu paru okruszków najzwyklejszego, powszedniego chleba.

Trzy obrazki z dwóch żyć i jednej przyjaźni

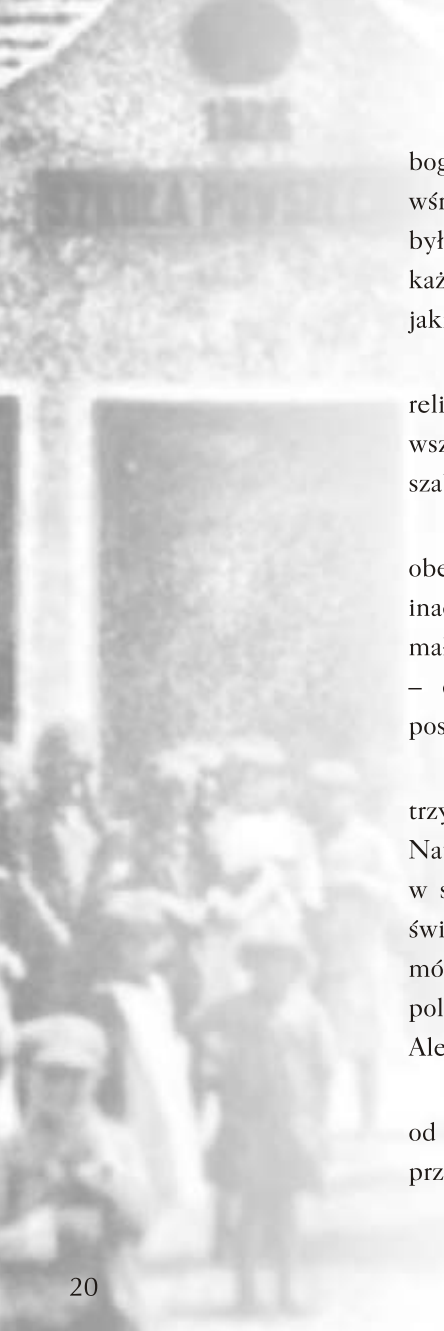

Z zamożnością mieszkańców Łęcznej bywało różnie. Zdarzali się bogaci Żydzi i bogaci Polacy, ale ubogich także nie brakowało – zarówno wśród jednych, jak drugich. W domu Bartosza żyło się przeciętnie – nie było ani za dużo, ani za mało. Pieniędzy wystarczało na dostatnie jedzenie każdego dnia, na porządne ubranie i buty. Brakowało jednak na jakiekolwiek luksusy – majątku rodzina nie posiadała.

Życie dzieci w okresie międzywojennym zdominowane było przez religię i szkołę. Mali Polacy wędrowali każdej niedzieli do kościoła – wszyscy uczniowie, obowiązkowo. Ich żydowscy koledzy obchodzili szabat i regularnie odwiedzali synagogę.

Razem chodzili do szkoły. Podstawówka mieściła się w budynku, obecnie zajmowanym przez Urząd Miasta. Oczywiście, domek wyglądał inaczej, niż dziś. Liczne remonty zmieniły jego wizerunek. Był trochę za mały na szkołę – ilość sal lekcyjnych nie wystarczała dla licznych uczniów – często wynajmowano dodatkowe pomieszczenia u mieszczan posiadających duże domy.

Klasa, w której rozpoczął naukę siedmioletni Bartosz, liczyła trzydzieścioro dzieci – szesnaścioro żydowskich i czternaścioro polskich. Nauka trwała siedem lat i odbywała się przez sześć dni w tygodniu – także w soboty. Bartek zazdrościł żydowskim kolegom, ponieważ w soboty świętowali szabas i byli zwolnieni z zajęć w tym dniu. W szkole mali Żydzi mówili po polsku. Niektórzy mieli obcy akcent, inni posługiwali się czystą polszczyzną – nie różniącą się niczym od tej, która była językiem Polaków. Ale gdy spotykali się we własnym gronie, mówili w jidisz.

Dzieci ubierano podobnie – trudno było po wyglądzie rozróżnić Żyda od Polaka. W szabas czy inne święta, na wyjścia do synagogi, Żydzi przebierali się w rytualne stroje i wtedy stawali się rozpoznawalni.

Pewnego dnia jedenastoletni wówczas Bartek przeszkadzał w czasie

lekcji. Kiedy – nie zważając na upomnienia, wciąż kręcił się i rozmawiał, nauczycielka ukarała go surowo. Został posadzony we wspólnej ławce z dziewczynką, co wśród dzieciaków uważano za najwyższą hańbę.

W rezultacie kara okazała się nagrodą – Bartek serdecznie zaprzyjaźnił się z czarnowłosą, czarnooką Żydówką Felą. I do końca nauki – przez kolejne dwa i pół roku – siedzieli razem, choć nikt ich do tego nie zmuszał. Koledzy trochę im początkowo dokuczali, ale oni nie przejmowali się docinkami. Spędzali razem dużo czasu – spotykali się także po lekcjach. Rodzice Feli handlowali piwem i należeli do najbogatszych mieszkańców miasta. Dziewczyna nosiła piękne, drogie ubrania, a na drugie śniadanie dostawała wykwintne przysmaki. Chętnie częstowała kolegów słodyczami i owocami, które na ogół stanowiły nieznany na ich stołach rarytas. Pewnego dnia Fela zaprosiła Bartka do swojego domu, jak to określiła – na rybkę. Chłopiec z radością przyjął zaproszenie. Nigdy przedtem nie odwiedzał przyjaciółki, choć często odprowadzał ją pod sam próg. Przygotował się do wizyty starannie. Wystrojony w najlepsze ubranie, stanął w piątkowe popołudnie przed drzwiami znajomego domu przy ulicy Lubelskiej.

Kiedy został wprowadzony do środka, dosłownie zaparło mu dech z wrażenia. Nigdy przedtem nie widział tak okazałego wnętrza. Salon, w którym się znalazł, skojarzył mu się natychmiast z królewską komnatą, znaną z baśni i opowiadań. Rzeźbione meble, fotele obite skórą, wysokie krzesła misternie zdobione – w oczach chłopca stanowiły cuda z pogranicza fantazji.

Olbrzymi stół uginał się od różnorodnych dań. Ryby stanowiły tylko drobne elementy uczty. Na delikatnej, porcelanowej zastawie pyszniły się mięsiwa, ciasta i omlety. Na srebrnej paterze kunsztownie ułożone owoce skojarzyły mu się z ilustracją w książce. Większość potraw nie była mu w ogóle znana, wszystko jednak wyglądało niezwykle apetycznie i smakowicie.

Rodzice Feli i jej starsza siostra, elegancko ubrani, serdecznie zaprosili go do zajęcia miejsca przy stole. Gospodarze byli mili, zadawali pytania, cieszyli się, że jest kolegą ich córki. Proponowali, by skosztował kolejnych przysmaków. Chłopiec, onieśmielony otaczającym go przepychem, całkowicie stracił rezon. Siedział skrępowany i milczący, marząc tylko o tym, by jak najszybciej opuścić niezwykły dom. Matka i ojciec Feli traktowali go jak dorosłego, ważnego gościa. To było miłe uczucie, ale równocześnie – paraliżujące. Obawiał się, że popełni jakiś błąd- coś stłucze lub rozleje, powie niewłaściwe słowo, popełni nietakt. Zamiast cieszyć się przyjęciem, smakować wyszukane potrawy – on coraz bardziej niepewny gubił się w tej obcej atmosferze.

Miał wielu kolegów, którzy często odwiedzali go w domu. I też byli częstowani – kanapkami, ciastem – jeśli akurat mama upiekła. Nieraz – obiadem… Ale całkiem zwyczajnie, niezobowiązująco. Zdarzało się, że z pajdą chleba w dłoni wychodzili na ulicę i spacerowali, zajadając. Dla jego rodziców znajomi syna byli po prostu gromadą dzieciaków.

Kiedy powoli zaczęło zmierzchać, ojciec Feli i pozostali domownicy zachęcali chłopca, by pozostał z nimi na szabas. Jednakże on wymówił się koniecznością powrotu do domu, nazmyślał na poczekaniu tysiąc ważnych spraw, dla których załatwienia nie może pozostać ani chwili dłużej. W pośpiechu opuścił gościnne progi i ochoczo pobiegł do siebie.

Od tamtej chwili myślał wyłącznie o tym, jak zrewanżować się Feli za to przyjęcie w jej domu. Miał małą łódkę, stare czółno, którym pływał po stawie. Postanowił, że zaprosi koleżankę na wspólną wycieczkę. Wszak w jego zwyczajnym mieszkaniu nie było niczego, czym mógłby ją odpowiednio uhonorować i godziwie przyjąć.

Zaplanował to wspólne pływanie w najdrobniejszych szczegółach. Wyszorował łódkę, na dnie ułożył barwną poduszkę, ukradkiem wyniesioną z sypialni rodziców. Zrobił własnoręcznie kanapki z marmoladą, chociaż wątpił, czy Fela przyjmie poczęstunek. Żydzi,

w dbałości o koszerność posiłków, stołowali się zwykle we własnych domach.

Największą atrakcją, jaką miał dla dziewczynki, były cudne nenufary, ukryte w zakątku stawu. Fela ucieszyła się z zaproszenia. Przyszła nad wodę prześlicznie wystrojona. W nowej, jasnej sukience i skórkowych pantofelkach wyglądała uroczo. Starannie uczesana robiła bardziej wrażenie księżniczki, niż koleżanki ze szkolnej ławki. Maleńka, licha łódka przeraziła dziewczynkę. Wyznała Bartoszowi, że nie potrafi pływać i w ogóle – boi się wody. Zapewniał ją z całych sił, że to całkiem bezpieczna wyprawa, że nic jej nie grozi. Posadził ją wygodnie, sam wziął w ręce wiosła i odpłynęli. Radość tej przejażdżki była zakłócona niepokojem Feli. Dziewczynka kurczowo trzymała się brzegów łódki, aż palce jej zbielały. Przy każdym skręcie, zakołysaniu, głośno piszczała. Chciała wracać na brzeg, na suchy ląd. Kiedy dobrnęli do nenufarów, była tak zmęczona lękiem, że nawet się nie zachwyciła. Chłopiec zrozumiał, że dalsze pływanie nie ma sensu i – rozczarowany – bezpiecznie odholował Felę do brzegu. Pomógł jej wysiąść z łódki. Dopiero, gdy znaleźli się na ziemi, gdy Fela poczuła pod nogami trawę – zaczęła cieszyć się przejażdżką. Podziwiała nenufary, zachwycała marnym czółnem i zapewniała kolegę, że tę wycieczkę zapamięta na zawsze. Na zawsze…

Później wybuchła wojna. Rodzina Feli nagle zniknęła z Łęcznej. Ludzie mówili, że wyemigrowali do Ameryki, świadomi zagrożenia. Bartek nigdy więcej nie zobaczył Feli – najmilszej przyjaciółki z dzieciństwa. Ale zapamiętał ją na resztę życia. Często przechadzał się pod jej domem. Wciąż miał nadzieję, że ją spotka. Wracał na ulicę Lubelską, zatrzymywał się pod znajomymi drzwiami. I wspominał.

Wielkie było jego zdziwienie, gdy pewnego dnia zastał budynek zrujnowany. Było to po wojnie, w latach pięćdziesiątych. Prawie cała ściana została zburzona. Kiedy wszedł do pustych pomieszczeń, zrozumiał, że dom padł ofiarą złodziei. Zawsze głośno było o majątkach

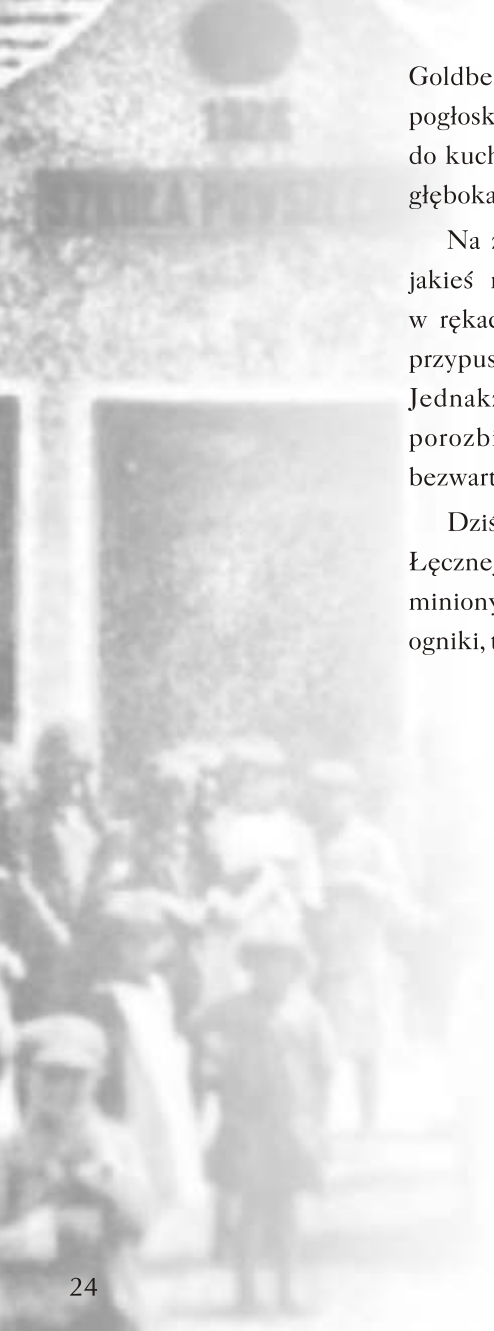

Goldbergów, rodziców Feli. Widać ktoś w końcu postanowił sprawdzić pogłoski i wybrał się na poszukiwania. Jak stwierdził Bartosz po wejściu do kuchni – skutecznie. W ścianie widniała nisza. Pokaźna – 80x80cm, głęboka prawie na metr. I pusta. Całkiem pusta.

Na zdewastowanej podłodze poniewierały się blaszane pieniążki – jakieś ruble i kopiejki. Skórzane płaty, zbutwiałe, rozpadające się w rękach, porozrzucano w kącie. Odciśnięte na nich ślady pozwalały przypuszczać, że skrupulatnie zapakowano w nie drogocenne przedmioty. Jednakże nic cennego nie pozostało. Splądrowane mieszkanie, porozbijane ściany robiły smętne wrażenie. Bartosz podniósł bezwartościową kopiejkę i schował do kieszeni. Na pamiątkę.

Dziś Bartosz jest starym człowiekiem. Często wraca pamięcią do Łęcznej sprzed lat. Wspomina dzieciństwo i młodość. Wraca do minionych zdarzeń, ludzi, klimatów. A w jego oczach zapalają się wtedy ogniki, takie wieczne iskierki, całkowicie odporne na upływanie czasu.

Najprawdziwsza opowieść o prawdziwej miłości

Wrzesień rozpoczął się upalnie. Jarmark, organizowany jak co roku na Św. Idziego, tonął w słońcu. Tłumy sprzedających, kupujących i gapiów przemieszczały się leniwie, zaskoczone niespodziewanym żarem z nieba. Ale handlowaniu nic nie mogło przeszkodzić. Zagrała kapela, która przybyła z daleka, by uświetnić swym występem jarmark i rozsławić własne imię. Tłum ożywił się. Niektórzy zaczęli przytupywać, inni puścili się w tany.

Jasnowłosy Zygmunt, niedawno osierocony przez oboje rodziców, tęsknie spoglądał w stronę muzykantów. Świeża tragedia – pożar, w czasie którego zginęli jego najbliżsi i spłonął rodzinny dom, uniemożliwiała mu odczuwanie jakiejkolwiek radości. Skoczna muzyka wydawała mu się czymś bardzo niestosownym, chciał jak najszybciej opuścić wesołe miejsce. Nagle dostrzegł Rut. W jednej maleńkiej chwili jego szare oczy spotkały jej czarne – i świat się zatrzymał. Przeszłość zniknęła. Została tylko ta jedna, nowa chwila. Zygmunt zakochał się w Rut. Bez pamięci.

Nieważne, że Rut była rozumną, żydowską panienką, wychowywaną pieczołowicie w ortodoksyjnej rodzinie. Doskonale wiedziała, że miłość Żydówki i goja skazana jest na zagładę. Dzieliło ich wszystko. Łączyła potężna siła, nakazująca jej patrzeć na Zygmunta, iść w jego stronę, obok niego, razem z nim. Świat opustoszał, zostali tylko oni dwoje. Cały barwny tłum wokół stał się nic nieznaczącym tłem. Cisza, gęste powietrze. Zawrót głowy. Serce bijące gdzieś w uszach, potykające się o tę ciszę… Rut pokochała Zygmunta. Ostatecznie.

Ojciec Rut, Mojżesz, był zamożnym kupcem. Postawił w łęczyńskim II Rynku dom, w którym – obok mieszkania – mieścił się sklep bławatny. Zarobki ze sklepu stanowiły źródło utrzymania dla całej rodziny – żony

Chai, trzech synów i najmłodszej, jedynej córki. Mojżesz był człowiekiem wciąż zamyślonym i rzadko się odzywał. Modlił się, ciężko pracował i prawie nigdy nie uśmiechał. Nieraz tylko, gdy patrzył na swoją Rut, zapalały się promyki w jego czarnych oczach i cicho szeptał: – Moja ty królewno…

O tej miłości nikt nic dokładnie nie wiedział. Ani ona, ani on nie powiedzieli nikomu jednego nawet słowa. A z tego, co udowodnili swoją szaloną decyzją, można wywnioskować, że ich uczucie było silniejsze niż religia, którą wpajano im od maleńkości, niż strach przed Panem Bogiem w Niebie i Panem – Niech Będzie Błogosławiony – „wymagania" którego starali się spełniać każdym swoim ziemskim krokiem.

Oślepieni tym, co urodziło się w ich duszach, potrafili zostawić własne miejsca na ziemi. To, co do tej pory było najważniejsze na świecie i znaczyło – wszystko.

Tak bardzo zapragnęli być ze sobą, że wszelka stabilizacja materialna, którą im zapewniały rodzinne domy, przestała się liczyć. Z pustymi rękami, za to pełnymi sercami, bez czytelnych perspektyw, zdecydowali się wskoczyć w nieznaną przepaść. Uczynić krok, który odcinał ich od tego, co bliskie, znajome i pewne. Krok, od którego nie ma odwrotu, którego nie da się cofnąć. A zapewniał im jedynie bycie ze sobą. Stali się dla siebie tak niezbędni, że bez cienia wahania potrafili ten krok postawić. Wstąpili w nowe z ufnością i wiarą, jaką może dać tylko miłość.

Plotkowano w całej Łęcznej. Zarówno w żydowskich, jak polskich domach. Oto zniknęła Rut. Zniknął Zygmunt. Ucieczka ?

Mojżesz gasł w oczach. Każdego dnia stawał się coraz chudszy, mniejszy, bardziej zgarbiony. Rut odeszła bez słowa. Zostawiła jego – ojca. I zniknęła – zhańbiona, przeklęta, obca. Zabrała tylko parę drobiazgów,

należących do niej. I jego spokój, dumę, szczęście…

Mojżesz odmawiał za córkę Kadisz. Modlitwę za umarłych.

Osobą zorientowaną w sytuacji młodych była Wanda – leciwa ciotka Zygmunta, jego jedyna krewna i opiekunka po śmierci rodziców i sióstr. Wiedziała, że Rut i jej siostrzeniec mieszkają w Lublinie. Rut została ochrzczona i – bez większego przekonania – stała się katoliczką. Niepraktykującą. Uciekinierzy zawarli związek małżeński i – wspólnie – „klepali" biedę. Obcy zarówno dla Żydów, jak i Polaków – „przedzierają się" przez życie. Ciotka próbowała modlić się za nich, choć nie bardzo wiedziała, w jakie słowa ubrać prośby do Boga. O co prosić…

Pewnego wiosennego dnia Mojżesz nie zerwał się o świcie, by jak zwykle, przed rozpoczęciem pracy, oddać się modlitwie. Leżał z oczami wlepionymi w sufit. Kiedy zaniepokojona żona, wezwawszy synów, pytała, co mu jest – wyszeptał tylko: – Przebaczcie mojej królewnie. I umarł.

Umarła także Wanda, jedyna ciotka Zygmunta. Nie z żalu za siostrzeńcem, a ze starości. Zanim odeszła, zdążyła oplotkować młodych „zdrajców", a szczególnie – Rut. Uważała ją za czarownicę, która „czarnymi ślepiami" zaklęła Zygmunta i wywiodła na tułaczkę…

Po śmierci ciotki Zygmunt i Rut powrócili do Łęcznej. Chłopak był jedynym jej spadkobiercą, a mieszkanie przy Świętoduskiej stanowiło dla młodych małżonków szansę na jakąś stabilizację. Zmęczeni biedą i niepewnością jutra osiedli w rodzinnym miasteczku. Tyle, że wrócili we troje. Jedyną wartością, majątkiem i skarbem, jakiego dorobili się „na wygnaniu" – była córeczka Marysia (Miriam?) – najbrzydsze dziecko świata…

Żona Mojżesza, Chaja, często obserwowała z ukrycia swoją córkę i wnuczkę. Nigdy nie podeszła do nich, nie zbliżyła się, ani nie odezwała. Chociaż, oczywiście, doskonale pamiętała ostatnią wolę męża.

Lata płynęły. Zygmunt pracował jako urzędnik. Jego zarobki wystarczały na utrzymanie rodziny. Żyli pośród ludzi, ale jakby obok nich – w odosobnieniu. Nie mieli znajomych, a tym bardziej – przyjaciół. Sąsiedzi wciąż ich obserwowali i szeptali o nich po kątach. A oni zapewne nie potrzebowali nikogo – zakochani w sobie wciąż jednakową miłością. Pielęgnujący wspólnie umiłowane dziecko. Marzyli, że kiedyś, w przyszłości, przeniosą się na wieś...

Rut była z Zygmuntem szczęśliwa. Równocześnie – nieszczęśliwa bez swoich najbliższych. Tęskniła, ale potrafiła śmiać się radośnie. Płakała tylko w piątkowe wieczory, kiedy Strażnik Soboty wędrował od domu do domu, stukał laską w ramy okien i obwieszczał śpiewnie:
– Siabas, Ideleh! Szabas, Żydzi!

Okna ich domu omijał…

Kiedy Marysia (Miriam?) skończyła 6 lat, jej podobieństwo do dziadka Mojżesza stało się oczywiste. Haczykowaty nos, małe czarne oczy, głęboko osadzone. Szczuplutka, niezgrabna sylwetka… Kiepski wizerunek dla dziewczyny. Ludzie tłumaczyli ten brak urody faktem, że mała jest owocem grzechu.

Dla rodziców – była najpiękniejsza.

Zygmunt rozchorował się na grypę. W środku lata tracił przytomność z powodu wysokiej gorączki, majaczył. Wezwany przez przerażoną Rut felczer machnął ręką. – To zwykłe przeziębienie, za parę dni samo minie. Zostawił jakąś miksturę, pobrał pieniądze za wizytę. I odszedł. A zaraz za

nim odszedł Zygmunt. Na zawsze. Przed śmiercią rzucał się po całym łóżku, bełkocząc niezrozumiałe słowa, spośród których wyraźne było tylko: – wybacz.

Pogrzebem zajęli się sąsiedzi, którzy wobec takiej tragedii zapomnieli o awersji do „grzesznej" rodziny. Poszedł kondukt na łęczyński cmentarz. Szła Rut ściskając rękę córeczki, nieliczni współpracownicy Zygmunta, mieszkańcy sąsiednich domów. Mnóstwo ciekawskich gapiów. Na cmentarzu, przed wykopanym dołem, Rut zaczęła zawodzić. Lamentowała jak typowa, żydowska płaczka, jęczała, szlochała, łkała. Twarz miała szarą, oczy niewidzące. Darła na sobie ubranie, jak czynili to tradycyjnie jej przodkowie. Tyle, że jej zachowanie nie było podyktowane tradycją, a najszczerszą, ludzką rozpaczą. W końcu upadła na ziemię, mdlejąc z bólu. Ludzie patrzyli i kiwali głowami. – Ot – zachciało się Żydówce katolickiego męża. I Pan Bóg ukarał! Odebrał, co nie dla niej. Pan Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy!

Po powrocie do domu Rut – a właściwie cień, który z niej pozostał – obmyła ręce…

Na Świętoduskiej zjawił się najstarszy syn Mojżesza – brat Rut. Zabrał siostrę i Miriam (Marysię?) do domu ojca.

Właśnie kończył się sierpień 1939r..

Gdy się bajka w bajdę zmieniła

Za oknem szarzało, Łęczna szykowała się do snu. W zamożnym domu przy Świętoduskiej babcia i wnuczka siedziały w przytulnej kuchni, zajęte rozmową. Deszcz miarowo stukał w szyby. Niewybrukowane ulice zmieniały się w błotniste grzęzawiska. Tylko gdzieniegdzie ułożone „trepy" – kamienne wysepki pozwalały przechodzić suchą nogą w taką pluchę. Najrozsądniej jednak było po prostu nie wychodzić z domu. Sześcioletnia Jadzia, znużona całodziennym, przymusowym siedzeniem w mieszkaniu, zamęczała babcię pytaniami. Wciąż jeszcze nie traciła nadziei na spacer.

– Babciu, a dlaczego dzieci nie mogą same wychodzić wieczorem? – sądziła, że w końcu starsza pani ulegnie jej pragnieniom i choć na chwilę pozwoli wyjść w deszczowy świat.

– Wieczorem na ulicach jest niebezpiecznie. A noc to pora spania! – odrzekła zmęczona babcia.

– A dlaczego niebezpiecznie? – Przecież nocą jest ślicznie. Gwiazdy świecą i księżyc. I światełka za oknami… Mogłabym przejść się. Tak bliziutko. Widziałabyś mnie z okna.

– Bzdury pleciesz. Nawet gdyby nie padał deszcz, o tak późnej porze nie wypuściłabym cię na ulicę.

– A czemu? – nie dawała za wygraną dziewczynka.

– Bo Żydzi mogliby cię porwać – postraszyła babcia, która nie miała już chęci na tę dyskusję.

Wnuczka otworzyła buzię ze zdumienia. Nigdy przedtem nie słyszała o takim zagrożeniu. Ani mama, ani tato o tym nie wspominali.

Babcia, zadowolona z wrażenia, jake wywołały jej słowa, kontynuowała opowieść.

– Właśnie teraz, wiosną, Żydzi obchodzą ważne święto. Szykują się do niego długo. Muszą upiec dużo macy, żeby potem mieć co jeść. Dlatego

chwytają dzieci, samotnie wędrujące po ulicach. Potem wkładają je do specjalnych beczek, ponabijanych gwoździami. Ostrza gwoździ wypełniają cały środek beczki. Później toczą beczkę przed sobą, a gwoździe ranią ciało. Krew wypływa. Używają tej krwi – koniecznie niewinnej i katolickiej – do wyrobu macy. Jadzia spoglądała przerażona. Chwyciła babcię za rękę, drżąc ze strachu na całym ciele. – Ale posłusznym dzieciom nic nie grozi. Pod opieką babci czy rodziców nic ci się nie stanie – kobieta zaniepokoiła się reakcją wnuczki. – Nie myśl już o tym, tylko zawsze bądź posłuszna. Wtedy nikt cię nie zaczepi ani nie skrzywdzi. Teraz grzecznie połóż się spać i śnij o aniołkach!

Trudno mieć pogodne sny usłyszawszy tak koszmarne historie. Jadzia budziła się co chwilę – śnili jej się Żydzi z kręconymi pejsami, tacy wysocy, w długich chałatach, toczący przed sobą beczki i zajadający się macą. Która – w wyobraźni Jadzi – miała kolor czerwony.

Na Św. Marii Magdaleny w Łęcznej odbywał się jarmark. Przybyli kupcy i handlarze z bliska i bardzo daleka. Towarzyszyło im mnóstwo atrakcji – orkiestry, magicy, wesołe miasteczko. Miasto tonęło w słońcu, pogoda zachęcała do opuszczenia domów i wzięcia udziału w interesującym wydarzeniu. Jadzia, która nigdy przedtem nie widziała karuzeli, radośnie podskakiwała przy boku babci. Jednak, pomna niedawno zasłyszanych strasznych opowieści, co chwilę chwytała opiekunkę za rękę. Kilkakrotna przejażdżka na karuzeli – całkiem nowe wrażenia, od których dech zapierało – dosłownie i w przenośni – uczyniły dziewczynkę szczęśliwą. Nie można jej było oderwać od fruwających koników, dotykających nieba. Babcia znów użyła podstępu – tym razem niegroźnego. Obiecała wnuczce zakup pierścionka i koralików. Wędrowały między straganami, podziwiały wystawione towary. Barwne kramy uginały się od wszelkiego dobra. Wiatraczki, ubrania, piłeczki, owoce, warzywa, obuwie. Wszystko pomieszane i wszystko cudowne. Nie wiadomo, co oglądać, co kupować, dokąd iść. A wokół muzyka, pełno

ludzi – gwar i radosny hałas. Dostała Jadzia pierścionek z niebieskim oczkiem i piłeczkę na gumce. Szczęśliwa, dreptała obok babci i chłonęła niecodzienne widoki.

A babcia zajęła się prozaicznymi zakupami – mąka, kasza, mięso… Dziewczynka nie mogła pojąć, jak można kupować tak zwyczajne produkty w tym czarodziejskim dniu.

Nagle dostrzegła chłopaka, który połykał ogień! Zatrzymała się, stanęła jak wryta i podziwiała popisy. Sztukmistrz otwierał usta i wkładał do gardła płonący kij. A potem się uśmiechał i ponawiał sztuczkę. Jadzia aż się spociła z emocji. Nagle chłopak przestał zjadać ogień. Chwycił blaszaną miseczkę i zaczął przechadzać się wśród gapiów. Słychać było brzęk monet. Miseczka znalazła się przed oczami dziewczynki. Już chciała poprosić babcię o parę groszy, gdy nagle spostrzegła, że babci obok nie ma…

Jadzia wpadła w panikę. W jednej chwili przypomniała sobie o wszelkich zagrożeniach – o niegodziwych ludziach, wściekłych psach, a nawet – o Marsjanach…

Wokół niej kłębił się tłum – obce twarze, obojętne postaci. Nikt nie zwracał uwagi na zapłakane, oszalałe z rozpaczy dziecko, miotające się bezradnie w ludzkiej ciżbie...

Spocona, szlochająca dziewczynka usiadła na ziemi, w cieniu pustych skrzynek. Rozcierała łzy na brudnych policzkach i kompletnie nie wiedziała, co robić.

Babcia także była przerażona. Biegała między straganami, zaczepiała przechodniów i handlujących. Nikt nie potrafił jej nic powiedzieć – w zaaferowanym własnymi sprawami tłoku nie dostrzeżono małej, zgubionej dziewczynki.

Powoli zbliżał się wieczór. Tłum powoli się przerzedzał – kupujący objuczeni zakupami rozchodzili się do domów. Jadzia, zmęczona płaczem

i strachem, usnęła wśród pustych skrzynek. Nagle poczuła, że ktoś delikatnie dotyka jej ramienia. Otworzyła natychmiast przerażone oczy. Zerwała się, w jednej chwili przytomniejąc. Zobaczyła zafrasowaną panią. Z całą pewnością – Żydówkę.

– Co się stało, dziewczynko? – zapytała kobieta i pochyliła się nad nią – Zgubiłaś się?

– Tak. Chodziłyśmy z babcią. Oglądałyśmy i kupowałyśmy prześliczne rzeczy. A potem babcia gdzieś mi zniknęła. I nie wiem, co robić. – Na wspomnienie strasznych przeżyć Jadzia znów się rozszlochała. Była całkiem zrezygnowana. Resztkami sił pragnęła tylko zakończenia tej okropnej przygody.

– Chodź, dziewczynko – pani wzięła ją za rękę, po czym wytarła jej umorusaną buzię chusteczką. – Jak ci na imię?

Umyta i nakarmiona Jadzia popijała herbatę z kolorowej filiżanki. Siedziała w elegancko urządzonym pokoju. Miękkie krzesło sprawiało, że znów chciało jej się spać.

– Czy macie w domu beczkę? – zapytała nagle, przypominając sobie o czyhającym niebezpieczeństwie.

– Jaką beczkę? – nie zrozumiała pani. – Obawiam się, że żadnej beczki nie posiadamy.

– Taką z gwoździami, do zabijania dzieci – zdeterminowana Jadzia wyrzuciła z siebie straszne słowa, po czym skuliła się w oczekiwaniu.

– Nic nie rozumiem – zakłopotana gospodyni patrzyła zdziwiona na swego przypadkowego gościa. – Czy dobrze się czujesz? Nic cię nie boli? Może głowa?

– Nie wiem – strach Jadzi stawał się coraz bardziej widoczny. – Czy pani mnie porwała?

– A po co miałabym cię porywać? – Zdumienie w jej głosie nie mogło

być sztuczne. Uspokoiło nieco Jadzię.

– Na macę… – zapłakała i ukryła twarz w dłoniach.

W końcu kobieta pojęła, o czym dziewczynka mówi. Nieobce jej były przeróżne bajdy wyplatane na temat Żydów. Grymas niechęci pojawił się na poważnej twarzy. Na szczęście była człowiekiem rozumnym i doskonale zdawała sobie sprawę z faktu, że nie może mieć żalu do małego, głupiutkiego dziecka, które ktoś dorosły lekkomyślnie i okrutnie wystraszył.

Z trudem zaczęła opowiadać o macy, zwyczajach, tradycji.

– Czy koszerny to znaczy krwawy? – dziewczynka pozostawała nieufna.

Kobieta uśmiechnęła się smutno. – Nie, córeczko. Koszerny to znaczy przygotowany według specjalnych receptur i w odpowiednich warunkach. – Cudzych dzieci nie porywamy. Po cóż by nam one były? Mamy swoje własne pociechy, które kochamy, o które dbamy, wychowujemy, uczymy. Zupełnie tak samo, jak twoi bliscy ciebie…

Przerażona babcia biegała po całej Łęcznej. Ktoś widział Jadzię idącą z żydowską kobietą.

Babcia – pośród modlitw i łez szukała teraz wnuczki. Przemierzała kolejne ulice. W końcu wróciła do domu z zamiarem udania się na policję. Jakaż była jej ulga, gdy ujrzała Jadzię – całą i zdrową, idącą obok eleganckiej pani.

W kilku słowach opowiedziana historia odnalezienia Jadzi zajęła kilka minut. Babcia, wśród podziękowań i błogosławieństw, chciała zaprosić kobietę do mieszkania – odwdzięczyć się jakoś za opiekę nad wnuczką, za odprowadzenie. Żydówka podziękowała stanowczo:

– Śpieszę się do własnych dzieci – zostały same. Pragnę tylko zwrócić uwagę pani, że dziewczynka jest przestraszona. Ktoś opowiada jej

niestworzone historie, przedstawia świat makabrycznym i wrogim. Proszę dopilnować, by dziecko nie było okłamywane. Ktoś bardzo krzywdzi tę miłą, rozumną panienkę – powiedziała i odeszła szybkim krokiem. Purpurowa ze wstydu babcia stała milcząca. Nie mogła wykrztusić słowa. Od czasu tego zdarzenia wszystko w ich domu się zmieniło Babcia zaczęła opowiadać wnuczce wyłącznie dobre bajki. A Jadzia serdecznie przyjaźniła się z żydowskimi sąsiadami – mieszkańcami tej samej Łęcznej.

– Różni nas religia i zwyczaje – tłumaczyła po latach. Ale jesteśmy takimi samymi ludźmi.

Kubek

Tak się szczęśliwie złożyło, że kiedy Janek skończył 14 lat – dostał pracę. Został szabesgojem u zamożnej, żydowskiej rodziny. W jego domu rodzinnym panowała bieda – miał siedmioro młodszego rodzeństwa. Rodzice utrzymywali dzieci z małego kawałka ziemi, który nie mógł zapewnić dziesięcioosobowej rodzinie godnego życia. Toteż chwytano się wszelkich możliwych zajęć, byleby tylko nie dać się nędzy. Zwłaszcza, że trudny los dotykał niejedną rodzinę żyjącą w Łęcznej i okolicach.

Zaczął Janek służbę w domu pani Róży – zamożnej Żydówki mieszkającej przy Krasnystawskiej. Jako, że kobieta miała starego, chorego męża i trzy córki – nie miał kto nosić wody – pomoc chłopca była potrzebna nie tylko w szabas, ale i w inne dni tygodnia. Pani Róża była osobą kapryśną i wymagającą – do picia używała wyłącznie wody ze studni mieszczącej się przy plebanii. Do innych celów mogła to być woda ze stoku na Starowsi. Cztery pozostałe studnie nie pasowały wymaganiom pani Róży. Musiał się więc Janek solidnie nabiegać i nadźwigać, by sprostać nowej pracy. Trzeba przyznać, że pani Róża płaciła mu dobrze. Z czasem zakres jego obowiązków się powiększył – rozpalał ogień, podgrzewał szabasowe jedzenie, zmywał. A zarabiał dużo więcej, niż jego własny ojciec.

Lubił Janek piątkowe, szabasowe wieczory. Oddychał dostatkiem żydowskiego domu. Oglądał piękne przedmioty, wsłuchiwał w spokojny szmer modlitw. Bezpiecznie się czuł wśród swoich pracodawców. Blask świec tworzył czarowny, ciepły klimat.

Szczególnie zachwycały chłopca naczynia. Przepiękne filiżanki – dotykał ich z obawą, że pokruszą się w jego niezgrabnych dłoniach, nieprzywykłych do kontaktów z takimi cudami. Natomiast mocne, fajansowe kubki, ozdobione barwnymi malowankami, wspaniale układały się w ręce. Były bezpiecznie solidne i tak piękne, kolorowe, lśniące. Chłopiec upodobał sobie szczególnie jeden z kubków.

Zakochana, uśmiechnięta para tuliła się na nim pod zielonym drzewem. Marzył sobie, że to on i Tereska – dziewczynka z sąsiedztwa, którą uważał za najśliczniejszą panienkę na świecie…

W domu Janka było tylko parę blaszanych naczyń. Poobijane miseczki i emaliowane kubki – niezgrabne, powykrzywiane przez czas i nieustanną służbę. Pomyślał o tych przeróżnych napojach – herbatach, kawach, kakao – wypijanych w domu żydowskich chlebodawców. O wodzie, która zaspokajała pragnienie jego sióstr i braci. O matce, która na niedzielne, świąteczne śniadanie szykowała zbożową kawę, mnożąc litr mleka dla dziesięciu osób… Smutek go ogarnął i żal do całego świata. Chwycił ten najpiękniejszy kubek i ukrył w przepaścistej kieszeni…

Matka płakała.

Stał i nie wiedział, co robić.

– Złodziejem jesteś, złodziejem! – rozpaczała kobieta i łzy olbrzymie spływały po jej policzkach.

– Oddaj to natychmiast! Jeszcze nieszczęście jakieś na nasz dom sprowadzisz!

Przekładał kubek z ręki do ręki. Było mu wstyd, a równocześnie odczuwał żal do matki. Bo nie rozumiała. Chciał, żeby się radowała, żeby miała w końcu dla siebie coś naprawdę pięknego. Żeby zobaczyła, jak ją kocha, jak pragnie jej szczęścia... A matka – jak stójkowy. I ten płacz na dodatek. Sam, z tej bezradności, bliski był łez.

Rankiem wyruszył na Krasnystawską. Niósł przed sobą nieszczęsny kubek – przez który on ani matka nie zmrużyli oka tej nocy. Niezgrabnie trzymał go w wyciągniętej ręce, jak najdalej od siebie. Bardzo żałował swojego czynu. Dopiero teraz zrozumiał błąd. Lubił panią Różę i jej córki. Szanował pracę, dzięki której jego rodzina miała co jeść. Jakieś licho go podkusiło, jakoś nie zastanowił się nad tym, co robi. Teraz żałował. Modlił

się w myślach i prosił Boga o wybaczenie. Kiedy znalazł się na Pasterniku, zwolnił kroku. Pragnął, żeby czas się zatrzymał… Wszedł w drewniane podcienia, pod którymi zawsze tak bardzo lubił przechodzić. Teraz nawet nie zauważył, gdzie jest. Wiedział tylko, że chwila, której się lęka, zbliża się nieubłaganie.

I oto stanął przed znajomymi drzwiami. Spojrzał na mezuzę przy futrynie. Odruchowo pochylił głowę. Wiedział, że znajdują się tam święte zapiski, chroniące dom przed złem. Często wraz z kolegami patrzył, jak Żydzi modlili się przed mezuzą. Kłaniali się, głośno wygłaszając tekst, śpiewnie podkreślając wagę słów.

W końcu zapukał. Czekał z bijącym sercem. Otworzyła mu wesoła Hencia – najstarsza córka pani Róży. Kiedyś jej powiedział, że nazywa się prawie jak jego mama – bo mama miała na imię Helcia. Tak ją nazywał tato. Pamiętał, jak oboje śmieli się z tego – że takie podobne imiona…Teraz czuł się okropnie. Hencia spojrzała na niego pytająco, a on podał jej kubek.

– Bardzo przepraszam, wziąłem na chwilę. Chciałem pokazać mamie, żeby oczy nacieszyła – ona zawsze taka smutna… Pomyślałem, że jakaś radość jej się należy… Przepraszam, bardzo przepraszam – że bez pozwolenia i w ogóle – głos ugrzązł mu w gardle, nie mógł wykrztusić kolejnego słowa. Dziewczyna patrzyła zdziwiona, obracała w dłoniach kubek.

– Poczekaj chwilkę – powiedziała i zniknęła za drzwiami. Był pewien, że w drzwiach ukaże się pani Róża, że przegoni go na zawsze. Skończą się szabasowe wieczory i wtorkowe noszenie wody… Nie będzie zarabiał pieniędzy, przez własną głupotę ukarani zostaną jego najbliżsi… Mama…

Drzwi otworzyły się ponownie. Ujrzał Hencię – uśmiechniętą, jak przedtem. Podała mu papierową torbę i – jakby się nic nie stało – powiedziała:

– To dla mamy. Jesteśmy bardzo zadowoleni z twojej pomocy. Nikt tak zręcznie nie rozpala ognia, jak ty, nikt tak bezszelestnie nie krząta się po domu. Do widzenia, do zobaczenia we wtorek. Przyjdź jak najwcześniej, dużo wody będziemy potrzebowały!

Zdezorientowany, stał jeszcze przez chwilę przed zamkniętymi drzwiami. Potem dotarło do niego: – „do zobaczenia we wtorek".

Czyli – nie stracił pracy. Wybaczyli mu jego głupotę! Nie wypędzili. Darowali, zrozumieli.

Szczęśliwy, z lekkim sercem i myślami, pobiegł do domu, prawie frunąc. Chciał jak najszybciej zobaczyć matkę, podzielić się swoją radością. Przyrzec, że już nigdy w życiu nie będzie musiała się za niego wstydzić, że z jego powodu nie uroni jednej nawet łzy. Zajrzał do papierowej torby, o której zapomniał zupełnie. I zobaczył fajansowy kubek – już teraz własny – przedmiot jego marzeń…

Jom Kipur – ostatnie święto łęczyńskich Żydów

Dla każdego człowieka najważniejszy jest chyba ten kawałek ziemi, gdzie po raz pierwszy ujrzał świat. Gdzie dorastał. Dzieciństwo – jedyny czas, kiedy beztroska i szczęście wygrywają z powagą istnienia.

Sara pragnęła nade wszystko choć raz jeszcze dotknąć tych miejsc, do których wciąż powracały jej myśli. Odetchnąć tamtym powietrzem. Cofnąć czas. Pomimo podeszłego wieku, mimo kiepskiego stanu zdrowia, mimo tych wszelkich „przeciw" – zdecydowała się na podróż.

– Dlaczego chcesz znów znaleźć się w miasteczku, gdzie przeżyłaś własną śmierć? – nie mógł zrozumieć najstarszy syn, lękając się o jej kruche zdrowie.

Wobec uporu, jaki wykazywała w tej kwestii, pozostało tylko kupić bilety. Dla niej i trzech synów, którzy znali Polskę wyłącznie z jej opowiadań. Pewnego wiosennego ranka znaleźli się wszyscy czworo na pokładzie samolotu Boeing 737 linii LOT, trasa – Tel Awiw – Warszawa. Punktem docelowym wyprawy była Łęczna – rodzinne miasteczko Sary.

Podróż miała trwać tylko kilka dni, niezbędnych, by odwiedzić najważniejsze miejsca, za którymi tęskniła. Pani Sara powiesiła sobie na szyi maleńki, biało-niebieski woreczek wypełniony izraelską ziemią. Wzięła też kilka białych świeczek – takich, które płoną przez kilkadziesiąt godzin. Nade wszystko pragnęła odwiedzić łęczyński kirkut – „giergiel" – jak mówili miejscowi.

Kiedy samolot „zaśpiewał" mocą wszystkich silników i – jak się jej wydawało – z trudem oderwał się od ziemi i zaczął wspinać ku chmurom, dotknęła woreczka na szyi.

– Mamo, tato – wyszeptała. Ogarnęło ją wzruszenie tak wielkie, że z trudem zapanowała nad łzami. – Lecę – pomyślała.

A potem przymknęła oczy i natychmiast przybiegły wspomnienia. Jeszcze pomyślała tylko, że zachowuje się jak „Cudzoziemka" z powieści

Kuncewiczowej. Zawsze czytała po polsku, w izraelskim domu miała bogatą, polskojęzyczną bibliotekę…

Najpierw pomyślała o dniu najstraszliwszym – wrześniowym Jom Kipur 1943 r. Wybrukowany II Rynek. Ranek. Ciało Żydówki Szandli. Rówieśnicy, koleżanki ze szkolnej ławy. Leżące z podkulonymi nogami w jedwabnych pończochach…

Dlaczego to właśnie Szandla jest pierwszym wspomnieniem? Pewnie dlatego, że widząc tę martwą dziewczynę - symbol życia, zabawy, wesołości – po raz pierwszy ucieszyła się, że jej ukochany ojciec nie dożył wojny…Właśnie minęły cztery lata od dnia śmierci i wciąż nie umiała pogodzić się z jego odejściem. A w tej chwili pomyślała, że dobrze, iż nie doczekał tego koszmaru…

Szandla – najfrywolniejsza ze znanych kobiet. Piękna, zadbana, elegancka. Starannie wychowana, urodzona w rodzinie właściciela skupów zboża. Ona i jej dwie siostry dorastały w dobrobycie. Od początku wojny „prowadzała się" z Niemcami – oficerami wysokimi rangą. W ten sposób „kupowała" dla ojca intratne kontrakty, chroniła siebie i bliskich, zapewniała im byt w tych najtrudniejszych czasach. Wybroniła przed zesłaniem do Treblinki, wyciągnęła z uformowanych już szeregów…

Łęczynianie – zarówno Polacy jak i Żydzi – gardzili Szandlą i jawnie się od niej odwracali. Zapewne najchętniej napluliby jej w twarz – jej, która przetańczyła wojnę przytulona do czarnych, wrogich mundurów.

Teraz leżała w kałuży zakrzepłej krwi – ona, która wierzyła w życie i jutro – za wszelką cenę. Ten widok odebrał Sarze resztkę nadziei. Poczuła, że otacza ją tylko śmierć. Nie było słońca, nieba, ludzi. Nawet Nienazwany odpłynął gdzieś daleko, zniknął w przestworzach.

I wtedy pomyślała, że szczęśliwi ci, których już nie ma. Ci, którzy nie muszą uczestniczyć w koszmarze, odczuwać nieludzkiego strachu, znosić poniżenia.

Pogrzeb ojca. Właśnie wybierał się do synagogi. Ubrany odświętnie, upadł nagle w samym środku pokoju. Aby już nigdy nie wstać. Lament matki i sąsiadów. Metalowe nosze, na których poniesiono go w ostatnią drogę. Jako najbliższej krewnej wolno jej było pozostać do końca. Biały, kamienny parkan okalający kirkut, mnóstwo kamiennych płyt znaczących miejsca pochówków. Drewniana stróżówka, a wokół parę kóz, które hodował dozorca. Nic do niej nie docierało. Zatrzymała się i pogłaskała biały łebek kozy, która niespodziewanie przed nią stanęła. Pamięta tę chwilę – czyjś zgorszony wzrok, pod którym pojęła niewłaściwość swojego zachowania

Potem wybuchła wojna i nic nie było już takie, jak przedtem. Dni ograniczone kolczastym drutem, strach. Rozstrzeliwania, obozy koncentracyjne, niepewność następnej chwili. Płacz matki. Ostatnie Jom Kipur. Najpierw – drugi obiad. Pamięta, że z trudem przełykała posiłek. Chociaż stół był suto zastawiony – Polacy zza drutów, sąsiedzi sprzed wojny – dbali, żeby uwięzionym Żydom nie brakowało jedzenia. Pilnowali, by było koszerne. Tyle tylko mogli dla swoich ziomków zrobić…

Czuła nieszczęście. Zresztą – wszyscy byli osowiali. W powietrzu wisiała groza, bliżej nieokreślona pewność, że wszystko zbliża się do końca.

Matka, dłubiąc w talerzu, zachęcała pozostałych do jedzenia. Bez przekonania mówiła o 24 godzinach przymusowego postu, który był częścią obchodów święta. Pamięta swoje myśli. Wiarę, że Jom Kipur to jedyny dzień, w którym szatan nie może uczynić Synom Izraela nic złego. Zasypiała pełna modlitwy i nadziei, że jutrzejszy dzień odmieni jej złe myśli. Obudziła się z bolącą głową. Wyszła zaczerpnąć powietrza i ujrzała martwą Szandlę...

A potem w getcie rozległ się stukot niemieckich kroków. Dźwięk, którego nigdy nie zapomniała. Tego dnia – Dnia Sądu – Niemcy działali

wyjątkowo szybko i zdecydowanie. Z każdego domu wypędzano Żydów – często ubranych już świątecznie, gotowych do wyjścia do synagogi. Jazgot znienawidzonej mowy, szczekanie psów, lament i rozpacz przerażonych ludzi – ten ranek zapisał się w jej pamięci z najdrobniejszymi szczegółami. Czuła się tak, jakby nie była sobą, jakby wszystko działo się obok. Roztrzęsiona matka, szlochająca bezradnie aż do chwili, kiedy rozwścieczony żołnierz uderzył z całych sił kolbą karabinu w jej zgarbione plecy. Natychmiast ucichła. Szła, pociągając nosem, połykając łzy, spływające strumieniem po jej twarzy. Żydówki, tulące dzieci, osłaniające ciężarne brzuchy, ściskające maleńkie rączki w drżących dłoniach. Niektóre próbujące uciekać, nie mogące wytrzymać tego pochodu śmierci. Natychmiastowa kula skracała ich męczarnie.

Sara ujrzała na balkonie domu nad sklepem trzech Niemców, którzy fotografowali ten ostatni marsz. Zadowoleni, uwieczniali szare od strachu twarze, łzy, cierpienie. Ścisk ludzkich, jeszcze żywych ciał.

Przed synagogą żołnierze sprawdzali, czy ktoś nie ma jakichś kosztowności. Wrzucali do skrzynki ostatnie skarby, które cudem udało się właścicielom do tej chwili zatrzymać. Czterech Niemców „prześwietlało" przechodzących wzrokiem. Jak cztery czarne sroki. Niczego nie przeoczyli. Dostrzegli pierścionek na paluszku dziewczynki. Zatrzymane dziecko schowało rączkę za siebie. Szarpnięcie, chrzęst kostek i – sroka zmienia się w krwiożerczego sępa – zrywa błyskotkę. Krzyk dziewczynki. Niemiec obejrzał świecidełko i ze wstrętem odrzucił je za siebie. To tylko jarmarczna blaszka…

Zaczęła się egzekucja. Kolejne ciała spadały do wąwozu. Karabiny maszynowe jazgotały nieprzerwanie. Wszędzie widziała tylko krew, której zapach unosił się w powietrzu. Wokół polscy chłopi z furmankami pełnymi piasku, rozkazem zmuszeni do stawienia się na miejsce zbrodni. Cała Łęczna i okolice przybyły pod bożnicę. Gapie? Nie, gapie nie płaczą. Sara widziała tyle autentycznego smutku i rozpaczy. Ludzie przyszli

pożegnać swoich sąsiadów. W gęstym powietrzu – jakby strach i ból zmaterializowały się nagle – płakali Żydzi i płakali Polacy. Judenpolizei – bracia Żydzi – skwapliwie usługiwali wrogowi. Przebierali sprawnie nogami, jak mechaniczne zabawki. Nadgorliwi – byleby się nie narazić, spełnić wymagania. Miotali się wśród zmasakrowanych ciał, składali je warstwami. Szybciutko, szybciutko – aby ci na górze – władcy życia – nie zdążyli się rozmyślić i pozabijać także tych, „wybranych". Pomyślała, że współczuje im – jeszcze biedniejszym od niej. Nawet jeśli przeżyją – w co wątpiła – to jakie będą ich myśli, ich sny, wspomnienia?

Jej kolej zbliżała się. Ogarnęło ją przerażenie. Duszący strach. Przed bólem, przed śmiercią, przed nieznanym. Stanęła na kładce oniemiała ze zgrozy, nie oddychająca, już nieżywa. Zacisnęła oczy, karabin znów zawył. Poczuła, że frunie, że spada, że nie ma jej wcale. Gruchnęła ciężko na ziemię – a właściwie na warstwę martwych i – niemartwych ciał. Nadal słyszała karabin, ale przez watę, która nagle wypełniła jej uszy. Coś ją jeszcze bolało – bardzo, ogromnie. Nagle – pustka.

– Jest ktoś żywy obok mnie? – usłyszała i pomyślała, że tak wita ją Pan – niech będzie błogosławiony… Chciała otworzyć oczy, ale nie umiała. Chciała coś powiedzieć, lecz nie była w stanie. Wokół wyczuwała ruch – jakby ziemia (nieziemia?) falowała.

Nagle przeszył ją nieludzki ból. Zawyła i – natychmiast – wróciła jej świadomość. Przypomniała sobie koszmar i zrozumiała, że żyje.

– Jestem – wycharczała. – Ja, Sara.

Nie chciała pamiętać wydostawania się ze wspólnej mogiły. Plątanina ciał, ramiona, twarze, zastygła krew, wnętrzności. Nie myślała, czego dotyka, po czym pełznie, co odsuwa. Chciała żyć – to była jedyna myśl tej nocy. Wiedziała jedno – gdyby zaczęła rozpamiętywać te chwile, to musiałaby głośno krzyczeć. I pewnie – straciłaby rozum…

Spotkanie z Antonim stanowiło zwrot w jej odzyskanym życiu. Nie

pamiętała tej wrześniowej nocy, w której nie powinno jej już być na tym świecie. Przeprawy przez Świnkę, wędrówki po parku. Jedyne, czego nie potrafiła zapomnieć, to ból. Nie do zniesienia, uniemożliwiający najmniejszy ruch czy oddech. Jednak pragnienie życia było silniejsze niż rany.

Pierwsze wyraźne wspomnienie to twarz. Blisko jej twarzy. Serce podskoczyło do gardła, załomotało. – Koniec – pomyślała. – Znaleźli mnie.

Ale dobre, bure oczy wpatrujące się w nią z niepokojem z całą pewnością nie należały do niemieckiego żołnierza. Silne ramiona uniosły ją wysoko. Zasnęła niespokojnym snem, pełnym koszmarów, a gdy się przebudziła, na świecie panował październik. Gospodarz Antoni znalazł ją wpół żywą, zemdloną w nadrzecznych zaroślach. Roztrzaskane ramię, z którego wciąż płynęła krew, poobijane ciało, połamane palce. Przeniósł ten ludzki strzęp do swojego domu. Nie zważał na groźby Niemców, którzy apelowali, by pod karą śmierci wydawać im każdego żydowskiego uciekiniera.

Chciał ją ocalić. Był świadkiem wrześniowej apokalipsy – jak większość łęczynian odchorował przymusowy udział w masakrze.

Nie miał rodziny, nikogo – o kogo musiałby drżeć, kogo chciałby ochraniać. Zajął się Sarą jak ojciec. Przygotował jej w oborze legowisko. Niewielki dół w ziemi, wymoszczony świeżą słomą i starą odzieżą – sweter, koc i wałek od tapczanu. Całość zamaskował zbutwiałą słomą – cuchnącą potwornie. Najlepiej wytresowany pies tracił węch wobec takiego fetoru. Do końca wojny dbał o Sarę, jak o córkę. Karmił, poił i strzegł. Opowiadał, co dzieje się za ścianami obory. Początkowo wspominał rzeź. Według informacji Antoniego, w Łęcznej nie został żaden żywy Żyd. Oficjalnie. W rzeczywistości Niemcy źle wykonali swoją robotę… Większość spadających ze skarpy żyła. Kiedy chłopi rozsypywali piasek, słyszeli jęki, a wąwóz pulsował konającym życiem. Antoni mówił, że ten widok będzie go prześladował do śmierci…

Silniejsi, lżej ranni Żydzi wydostali się z dołu i ruszyli z nadzieją na przetrwanie. Różne były ich losy. Niektórzy umierali po drodze, innych znajdowali oprawcy i natychmiast rozstrzeliwali. Nieliczni przedostali się do lasu, gdzie połączeni z partyzantami, wspólnie walczyli z wrogiem. Część znalazła schronienie w łęczyńskich i podłęczyńskich domach. Trzeba było nie lada odwagi i determinacji, by zdecydować się na przygarnięcie żydowskich uciekinierów. Groziła za to nieodwracalnie śmierć całej rodziny, a często – i sąsiadów. Taki los spotkał rodzinę Macierewiczów z Pasternika. Za przechowywanie Żyda wszyscy zostali zabici. Ocalało tylko niemowlę, które matka w ostatniej chwili rzuciła na podłogę.

Sara myślała o wdzięczności. Spoglądała na swoich dorosłych synów i rozumiała, że gdyby nie serce i odwaga pana Antoniego, nie urodziliby się nigdy. Nie byłoby męża, szczęścia, dzieci. Niczego. Nie byłoby niczego.

W pierwszej chwili w ogóle nie poznała Łęcznej. Nowe bloki, ulice, ludzie. Dopiero za kościołem św. Marii Magdaleny ogarnął ją dawny klimat. Rozpoznawała domy, miejsca, drzewa. Kiedy podchodzili do synagogi, serce zabiło jej mocno. Synowie spoglądali zaniepokojeni, widząc jej wzruszenie i łzy. Mówili do niej, ale nie słyszała słów. Kiedy stanęli nad skarpą, sypnęła drobinkę izraelskiej ziemi. I zapłakała serdecznie. Do wspomnień. I z wielkiej wdzięczności.

Kirkut zrobił na niej smutne wrażenie. Niczym nie przypominał miejsca, które trwało w jej pamięci. Brak macew, drzewa, zieleń. To nie tamten cmentarz. Stała z opuszczoną głową. Szeptała jakieś słowa i znów płakała. Zapaliła przywiezione świeczki. Rozsypała ziemię z woreczka. Spojrzała w niebo. W słońce. Na synów. Z trudem uklękła. W skupieniu zebrała odrobinę polskiej, łęczyńskiej ziemi i schowała w biało-niebieskim woreczku...

Zakończenie

Chociaż minęło już prawie 20 lat, doskonale pamiętam wrażenie, jakie wywarła na mnie Stara Łęczna, gdy ujrzałam ją po raz pierwszy. Dzień był jesienny i pogodny. Minęłam Kościół św. Marii Magdaleny – ta droga jest dla mnie najbardziej urokliwym zakątkiem miasta – i nagle znalazłam się w całkiem innym świecie. Wcześniej dużo słyszałam o Starym Mieście, ale rzeczywistość przeszła moje najśmielsze oczekiwania – zauroczyła mnie ostatecznie. Poczułam, że jestem u siebie, że chcę tu zostać. Takie uczucia nie biorą się z niczego. Urok tego, skupionego wokół trzech rynków miejsca, to nie tylko mury – nietuzinkowe, stare domki. To także emocje nagromadzone przez wieki, ślady minionych istnień, bogactwo przebrzmiałych zdarzeń. Przez kilkaset lat Łęczna była „małą ojczyzną" zarówno dla Polaków, jak i Żydów. Żyli obok siebie – wyznawcy różnych religii, przedstawiciele obcych kultur. Razem tworzyli to miasto. Pomimo tego, że tak wiele ich dzieliło, potrafili wspólnie trwać, współistnieć na przestrzeni wieków, tworzyć codzienność. Obecna Łęczna łączy w sobie ludzi z różnych regionów. Obok rdzennych łęczynian są przybysze ze Śląska, z innych miast i wsi z całej Polski. Dzięki powstaniu Kopalni Węgla Kamiennego w Bogdance miastu przybyło kilkanaście tysięcy mieszkańców, którzy związali się z nim na zawsze. Proces łączenia wciąż trwa – nie sposób w ciągu kilkudziesięciu lat przełamać i ujednolicić wielowiekowych tradycji, które każdy ze sobą przyniósł.

Wspólna historia, odkrywanie minionych wydarzeń, odnajdywanie korzeni – sprzyja scalaniu łęczyńskiej ludności. Przecież to nasze „dziś"

jest tworzone od wieków. Nieważne, że nie byli to nasi bezpośredni przodkowie – z krwi i kości. To oni dali nam to miasto. Pięknie usytuowane – wśród jezior i lasów. Coraz wspanialsze i nowocześniejsze. Bycie jego mieszkańcem stanowi powód do dumy. Tworząc jego przyszłość, myśląc o jutrze – pamiętajmy o wczoraj!

Opowiadania, które składają się na niniejszy zbiór, napisałam latem i jesienią 2008r. Są efektem rozmów z łęczyńskimi seniorami. Przedstawione historie zdarzyły się naprawdę. Odzwierciedlają stosunki panujące między Polakami a Żydami mieszkającymi w Łęcznej w okresie międzywojennym. Moi rozmówcy to: Adela Biskupska, Barbara Bonik, Bolesława i Jan Dubiccy, Błażej Jaczyński i Stefania Misiewicz. Wysłuchałam również opowieści pań Cecylii i Natalii, które pragną pozostać anonimowe. Dziś te osoby są już ludźmi w podeszłym wieku. Tylko pani Basia urodziła się po wojnie, ale posiada mnóstwo wiadomości przekazanych jej przez rodziców i znajomych. Pozostali oglądali przedwojenną rzeczywistość własnymi oczami, uczestniczyli w tamtym życiu. A że cechuje ich doskonała pamięć – bez trudu przenoszą się w przeszłość i opisują Łęczną sprzed 60, 70 lat. Niezwykle jestem wdzięczna za te rozmowy. Były dla mnie prawdziwą wycieczką do minionych dni. Sugestywność przekazów sprawiła, że naprawdę znalazłam się w dawnej Łęcznej. Poznałam Chaima, handlarza nakryciami głowy, którego dowcip i siła przekonywania zjednywała mu licznych klientów. Pani Adela opowiedziała mi zdarzenie z własnego dzieciństwa, kiedy to „zbezcześciła" niechcący świąteczny stół w domu znajomych Żydów. Okruszki zwykłego chleba upieczonego na zakwasie stały się powodem awantury, której przyczyny dziecko nie było w stanie pojąć. Bardzo mnie ta opowieść rozbawiła. Pani Adela – pomimo 80 lat – wciąż jest młoda. Jej żywe oczy, świeża twarz i żywiołowy sposób bycia pozwalają zapomnieć o latach, które przeżyła. Łatwo ją sobie wyobrazić jako małą dziewczynkę. A stół w całym jej życiu odgrywa ważną rolę. Pani

Adela – świetna gospodyni – doskonale gotuje i jest niezwykle gościnna. Tą typowo polską gościnnością, która – niestety – coraz bardziej zanika. Nawet niezapowiedzianego gościa przyjmuje prawdziwą ucztą, co jest niezwykle miłe.

Dzięki panu Błażejowi Jaczyńskiemu weszłam do łęczyńskiej, przedwojennej szkoły podstawowej. Poznałam zwyczaje i wartości, cechujące ówczesnych uczniów.

Smutna opowieść o trudnej miłości Polaka i Żydówki to także fakt – przybliżający relacje panujące między dwoma społecznościami żyjącymi w jednym mieście.

Kolejna postać – babcia, która lekkomyślnie wystraszyła własną wnuczkę. Nie znała religii żydowskiej, nie wiedziała, na czym polega celebrowanie świąt. Przypisała naszym Starszym Braciom w Wierze prawie kanibalizm… Wiele tego typu infantylnych teorii funkcjonowało w naszym społeczeństwie. Myślę, że to bardzo istotne, by przy każdej okazji walczyć z Ciemnogrodem… Opisana babcia długo wstydziła się tych plecionych przez siebie absurdów, ale wnuczka na resztę życia zachowała żal o tę krzywdzącą opowieść…

Historyjka o kubku jest dowodem na to, że pomimo wszystkich różnic Polacy i Żydzi doskonale się ze sobą porozumiewali, szanowali nawzajem, byli sobie bliscy i potrzebni. Ostatnie opowiadanie, ukazujące koniec łęczyńskich Żydów, kosztowało mnie bardzo wiele. Nieprzespane noce, przewartościowania, mnóstwo bólu i uświadomienie sobie ostatecznie kruchości ludzkiego życia – to cena, jaką zapłaciłam za wniknięcie w środek tamtych nieludzkich wydarzeń. Zmiana spojrzenia na synagogę, która jeszcze niedawno była uroczym miejscem, pełnym czarodziejskiego klimatu, a dziś – jest pomnikiem pamięci ponad tysiąca ludzi, którzy w ciągu jednego dnia stracili życie, zamordowani przez innych ludzi…

Każdy z moich rozmówców mówił o wojnie. Te wspomnienia najostrzej wpisały się w pamięć. Pan Jan Dubicki wzbogacił moją wiedzę

szczegółowym obrazem żydowskiego cmentarza. Pani Bolesława, żona, dodała do tych opowieści mnóstwo faktów.

Dziękuję serdecznie moim rozmówcom, współtwórcom tej książki. Spisałam ich wspomnienia, udało mi się dzięki nim spojrzeć w przeszłość. To było dla mnie niezapomniane przeżycie! Poznając rodowitych łęczynian – ich serdeczność, gościnność, otwartość – można pokochać to miasteczko jeszcze mocniej i – tak po prostu – stać się jego częścią. Mam głęboką nadzieję, że dzięki temu wydawnictwu jakiś fragment przeszłości pozostanie z nami na zawsze. Ożywią się ulice, obudzą dawni ludzie. Przez chwilkę pozwolimy znów płonąć szabasowym świecom, które niegdyś swym ciepłym blaskiem otulały naszą Łęczną…

Maria Kieres-Kramek

Spis treści:

Wstęp	3
Chaimowe „handele”	9
Opowiadanie o chlebie powszednim, który nie był macą	15
Trzy obrazki z dwóch żyć i jednej przyjaźni	19
Najprawdziwsza opowieść o prawdziwej miłości	25
Gdy się bajka w bajdę zmieniła	31
Kubek	38
Jom Kipur – ostatnie święto łęczyńskich Żydów	43
Zakończenie	51

FOUNDATION FOR THE PRESERVATION OF JEWISH HERITAGE IN POLAND
FUNDACJA OCHRONY DZIEDZICTWA ŻYDOWSKIEGO
www.fodz.pl

PLAMA
www.plama.org.pl

Druk publikacji współfinansowany przez Gminę Łęczna